



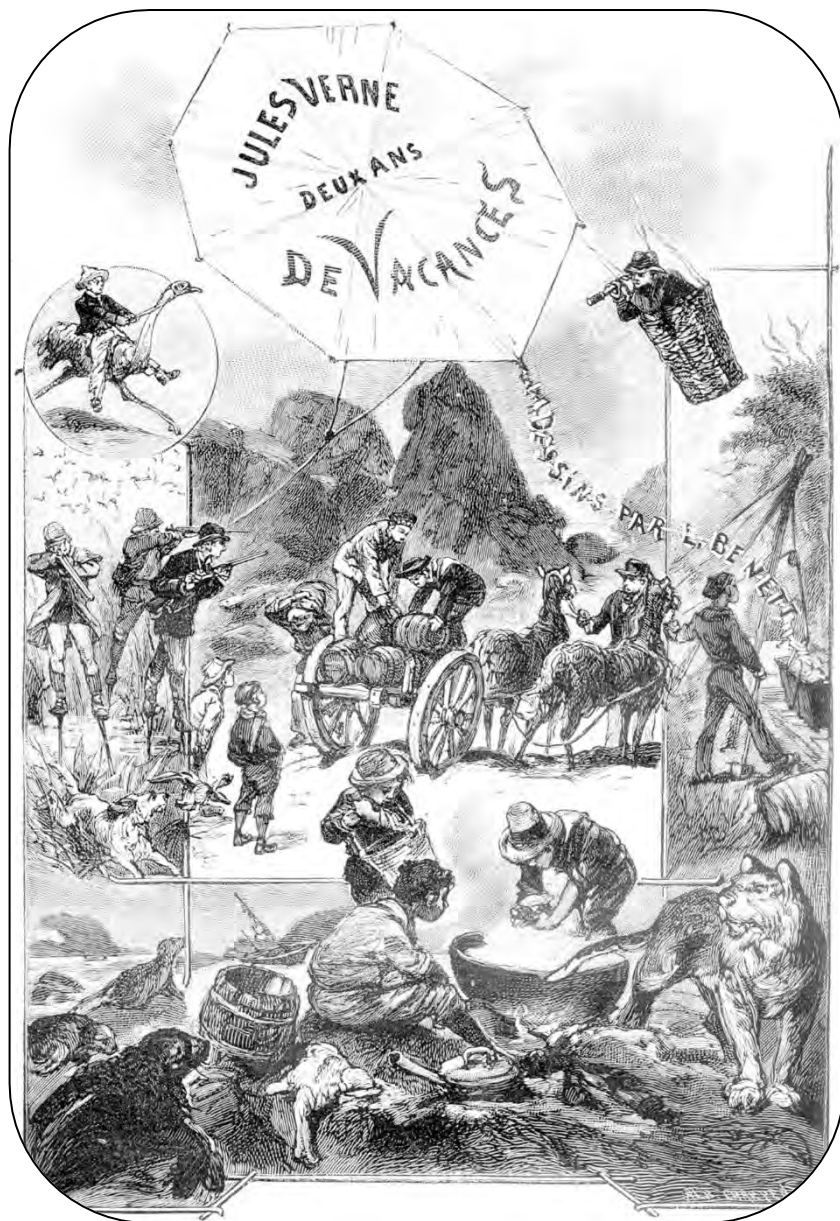
Juliusz Verne

Dwa lata wakacji (Część druga)



ISBN 978-83-66980-29-7 (całość)

ISBN 978-83-66980-31-0 (cz. 2)



Juliusz Verne

DWA LATA WAKACJI

Juliusz Verne



DWA LATA WAKACJI

Tom 2

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sto druga publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Deux ans de vacances

© Copyright for the Polish translation
by Andrzej Zydorczak, 2022

92 ilustracje, w tym 12 kart tablicowych kolorowych i 1 mapa:
Léon Benett (zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2022

ISBN 978-83-66980-29-7 (całość)
ISBN 978-83-66980-31-0 (tom 2)

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział XVI

Briant niepokoi się o Jacques'a – Budowa zagrody i kurnika
– Cukier z klonu – Wytępienie lisów – Nowa wyprawa do
Sloughi Bay – Zaprzęg – Masakra fok – Święta Bożego
Narodzenia – Niech żyje Briant!

Podczas nieobecności Gordona we French Den wszystko działo się dobrze. Przywódca małej kolonii mógł jedynie pochwalić Brianta, do którego wszyscy malcy bardzo się przywiązali. Gdyby nie wyniosły i zawistny charakter Doniphana, on również musiałby wysoko ocenić prawdziwe zalety swojego towarzysza. Tak się jednak nie stało, a dzięki wpływowi, jaki miał na Wilcoxa, Webba i Crossa, ci również chętnie popierali Doniphana, gdy chodziło o przeciwstawienie się młodemu Francuzowi, tak różniącemu się charakterem i sposobem bycia od swoich anglosaskich towarzyszy.

Briant zresztą niewiele sobie z tego robił. Wykonywał, co do niego należało, nie zwracając uwagi na to, co inni o nim myśleli. Jego największym zmartwieniem było niewytłumaczalne zachowanie jego brata.

Ostatnio znowu zasypywał Jacques'a pytaniami, nie otrzymując na nie odpowiedzi innej niż taka:

– Nie, bracie, nie...! Nic mi nie jest!

– Dlaczego nie chcesz nic powiedzieć, Jacques? – mówił Briant. – Nie masz racji...! To by ci ulżyło, podobnie jak mnie...! Widzę, że stajesz się coraz bardziej smutny i posępny! Posłuchaj...! Jestem twoim starszym bratem! Mam prawo znać przyczynę twego zmartwienia! Co masz sobie do zarzucenia...?

– Bracie! – odpowiedział wreszcie Jacques, jakby nie mógł się już oprzeć jakimś tajemnym wyrzutom sumienia. – To, co

zrobiłem...! Ty, być może... ty byś mi wybaczył... podczas gdy inni...

– Inni? Co za inni?! – wykrzyknął Briant. – Co chcesz mi powiedzieć, Jacques?

Z oczu malca pociekły łzy, lecz mimo nalegań brata zdołał tylko wykrztusić:

– Później się wszystkiego dowiesz... Później...!

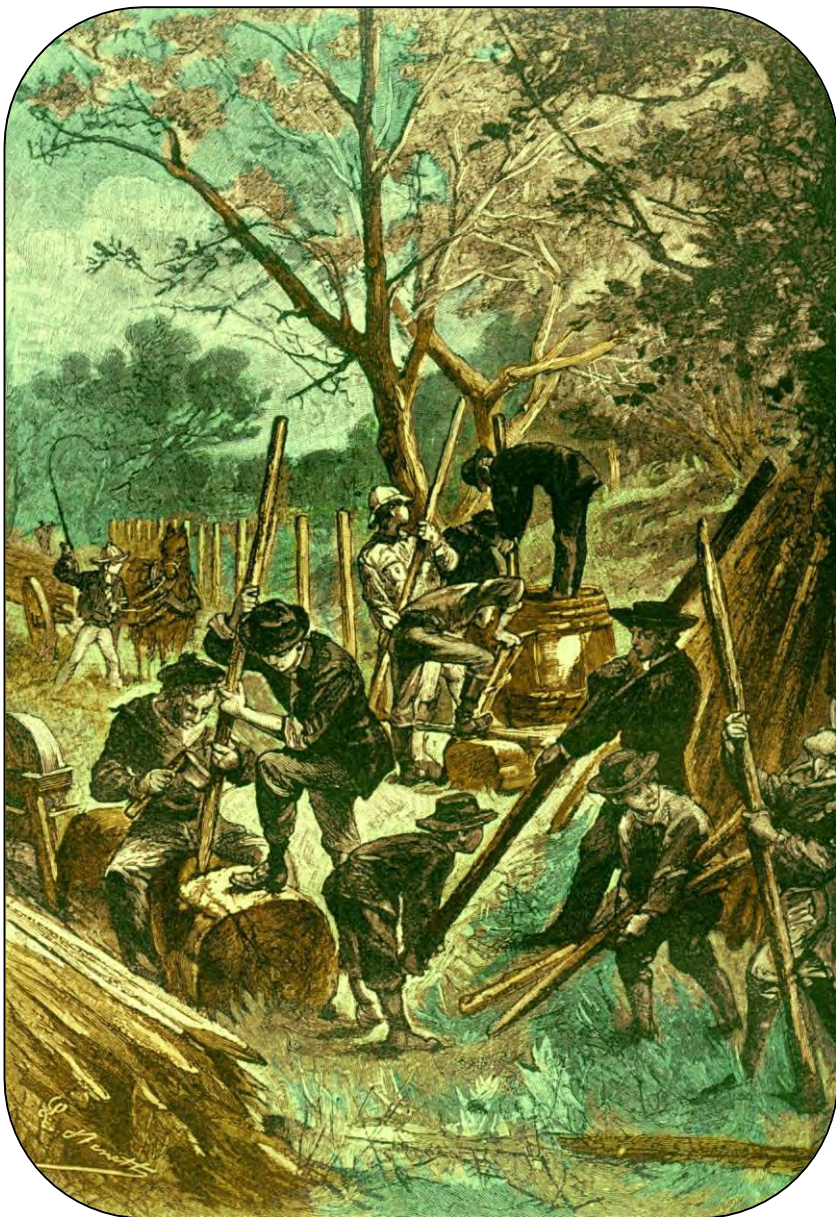
Taka odpowiedź, co było zrozumiałe, tylko zaniepokoiła Brianta. Co takiego przydarzyło się w przeszłości Jacques'owi? Tego właśnie za wszelką cenę chciał się dowiedzieć. Kiedy tylko Gordon powrócił z wyprawy, Briant podzielił się z nim wszystkim, co udało mu się wydusić z młodszego brata, prosząc go nawet o pomoc w tej sprawie.

– Nie trzeba – odpowiedział mu mądrze Gordon. – Lepiej pozwolić Jacques'owi, by sam to powiedział! Cóż takiego mógł uczynić...? Z pewnością to jakiś mały grzeszek, którego znaczenie przecenia! Poczekajmy, aż sam się wytłumaczy!

Od następnego dnia, czyli od dziewiątego listopada, młodzi osadnicy zabrali się ostro do roboty. Pracy nie brakowało. Na początek należało zaspokoić potrzeby kucharza, którego kredens zaczął świecić pustkami, mimo że sidła zastawione w okolicach French Den funkcjonowały w miarę regularnie. Prawdę mówiąc, brakowało grubszej zwierzyny. Postanowiono więc zbudować dość solidne pułapki, aby mogły w nie wpadać wigonie, pekari i *guasuti*, by oszczędzić trochę prochu i ołowiu.

Wymagało to podjęcia pracy, której starsi chłopcy poświęcili cały listopad – odpowiadający majowi na półkuli północnej.

Natychmiast po powrocie chłopców z wyprawy gwanaka, samicę wigonia i jej młode umieszczono tymczasowo pod rosnącymi nieopodal French Den drzewami. Tam, przywiązane długimi sznurami, mogły się poruszać w pewnym promieniu.



Zabrano się do roboty i pod kierownictwem Baxtera zorganizowano prawdziwy plac budowy.

Wystarczało to na całą letnią porę, jednak przed nadejściem zimy należało zorganizować im bardziej odpowiednie schronienie. Dlatego też Gordon zdecydował, że w tym celu u podstawy Auckland Hill, od strony jeziora, nieco poza wejściem do hallu, wybudowane zostaną szopa i zagroda zabezpieczone wysoką palisadą.

Zabrano się do roboty i pod kierownictwem Baxtera zorganizowano prawdziwy plac budowy. Przyjemnie było patrzeć, jak mniej lub bardziej zręcznie, ale gorliwie chłopcy posługiwali się narzędziami znalezionymi w skrzyni okrętowego cieśli ze *schoonera* – jedni piłami, inni siekierami lub toporkami. Jeżeli czasem coś im się nie udawało, wcale się tym nie zniechęcali. Średniej wielkości drzewa, ścięte u nasady i dobrze ogołoczone z gałęzi, dostarczyły odpowiedniej liczby pali potrzebnych do ogrodzenia przestrzeni wystarczająco dużej, aby tuzin zwierząt mógł wygodnie żyć. Pale te, solidnie wkopane w ziemię, połączono poprzecznymi belkami, które powinny się oprzeć wszelkim próbom drapieżnych zwierząt, chcących je przewrócić lub przeskoczyć. Jeśli chodzi o szopę, to została ona zbudowana z desek poszycia „Sloughi”, co zaoszczędziło młodym cieślom trudu cięcia drzew na deski – pracy zbyt ciężkiej w tych warunkach. Następnie dach został pokryty grubą smołowaną plandeką, by mógł się oprzeć wichurom i nawałnicom. Dobra, gruba ściółka, która byłaby często wymieniana, świeża pasza z trawy, mchu i liści, których zebrano obfite zapasy, to było wszystko, czego potrzebowali, aby utrzymać zwierzęta domowe w dobrej kondycji.

Utrzymanie zagrody w należyтым stanie powierzono Garnetowi i Service’owi, a ich opieka nad zwierzętami szybko została nagrodzona postępującym z dnia na dzień oswojeniem gwanaka i wigonia. W dodatku zagroda zaczęła przyjmować nowych

gości. Najpierw był to jeszcze drugi gwanako, który wpadł do jednej z pułapek w lesie, następnie para wigoni, samiec i samica, złowione przez Baxtera z pomocą Wilcoxa, który także zaczął dość sprawnie rzucać bola. Znalazł się tam nawet nandu, którego zdołał dopaść Phann. Szybko zdano sobie sprawę, że z tym strusiem będzie podobnie jak z pierwszym. Mimo najlepszych chęci Service'a, w dalszym ciągu upierającego się przy swoim, również w tym przypadku nie udało się go oswoić.

Trzeba wspomnieć, że dopóki nie wybudowano szopy, każdego wieczora zamykano gwanako i wigonie w Store Room. Szczekanie szakali, piski lisów i ryki drapieżników rozlegały się tak blisko French Den, że byłoby nieostrożnością pozostawiać zwierzęta na zewnątrz.

Tymczasem, podczas gdy Garnett i Service zajmowali się opieką nad zwierzętami, Wilcox i kilku jego towarzyszy nie przestawało zastawiać sidła i pułapek, które codziennie odwiedzali. Znalazła się również praca dla dwóch malców, Iversona i Jenkinsa. Dropie, bażancice, perliczki i kusacze wymagały bowiem urządzenia kurnika, który Gordon ulokował w jednym z kątów zagrody, a maluchom przypadło zadanie opiekowania się ptactwem – z czego zresztą gorliwie się wywiązywali.

Jak widać, Moko miał teraz do dyspozycji nie tylko mleko wigoni, ale również jaja opierzonego rodu. Bez wątpienia wielokrotnie sporządzałby z nich wymyślone przez siebie desery, gdyby Gordon nie polecił mu oszczędzać cukier. Jedynie w niedziele i niektóre dni świąteczne na stole pojawiały się nadzwyczajne potrawy, którymi delectowali się Dole i Costar.

Chociaż produkcja cukru była niemożliwa, to czy nie można było znaleźć jakiegoś surowca, który mógłby go zastąpić? Service – ze swoim *Robinsonem* w ręku – utrzymywał, że trzeba tylko uważnie poszukać. Gordon szukał więc, i w końcu udało



Mimo najlepszych chęci Service'a, w dalszym ciągu upierającego się przy swoim, również w tym przypadku nie udało się go oswoić.

mu się odkryć w gąszczu Traps Woods grupę drzew, które trzy miesiące później, w pierwszych dniach jesieni, powinny się pokryć pięknym czerwonym listowiem.

– To są klony – stwierdził – drzewa cukrowe¹!

– Drzewa z cukru! – wrzasnął Costar.

– Nie, łakomczuchu! Powiedziałem: cukrowe! Zatem schowaj swój język!

Było to jedno z ważniejszych odkryć, jakich dokonali młodzi koloniści od chwili zamieszkania we French Den. Nacinając pnie klonów, Gordon zebrał z nich spływający kropelkami syrop, który gęstniejąc, tworzył słodką masę. Choć był on mniej słodki od otrzymywanego z trzciny czy buraków cukrowych, był nie mniej przydatny do kuchennych potrzeb, a z pewnością lepszy od podobnego soku pozyskiwanego na wiosnę z pni brzoź.

Ponieważ mieli już cukier, wkrótce przystąpili do produkcji likierów. Za radą Gordona Moko wyrabiał je, poddając fermentacji ziarna *trulca* i *algarrobo*. Po uprzednim dokładnym roznieceniu ich w kadzi ciężkim drewnianym tłuczkiem otrzymał zawierający alkohol płyn, którego smak wystarczał – z braku cukru klonowego – do słodzenia ciepłych napojów. Co do liści zebranych z drzewka herbacianego, uznano, że są one równie cenne jak wonne krzewy chińskiej herbaty. Dlatego podczas wycieczek do lasu poszukiwacze nigdy nie zapominali o zrywaniu ich w dużych ilościach.

Krótko mówiąc, Wyspa Chairmana dostarczała swoim mieszkańcom może nie nadmiaru, lecz przynajmniej tego, co było

¹ *Klon cukrowy (Acer saccharum)* – gatunek z rodziny klonowatych; występuje pospolicie w lasach wschodniej Ameryki Północnej, gdzie jest jednym z najważniejszych drzew w gospodarce leśnej; wydziela słodki sok, z którego otrzymuje się syrop klonowy, a także cukier; syrop można także używać z klonu czerwonego (*Acer rubrum*) i klonu srebrzystego (*Acer saccharinum*), lecz żaden gatunek klonów nie rośnie na półkuli południowej.

konieczne do przeżycia. Jedyne, czego naprawdę brakowało – i czego należało żałować – to świeżych jarzyn. Trzeba się było zadowalać warzywami z konserw, których pozostało jeszcze około setki, lecz Gordon starał się bardzo je oszczędzać. Briant usiłował uprawiać zdziczałe ignamy, które francuski rozbitek hodował u podnóża falezy, lecz na próżno. Na szczęście nie zapomniano o selerach, które obficie rosły na brzegach Family Lake, a ponieważ nie musiano ich oszczędzać, z powodzeniem zastępowały inne jarzyny.

Rozumie się samo przez się, że sieci rybackie, rozpięte zimą na lewym brzegu *rio*, wraz z nadejściem lata przekształcone zostały na sieci myśliwskie. Znajdowano w nich między innymi ptakami małe kuropatwy i bernikle, z pewnością przybywające z łądów leżących daleko od Wyspy Chairmana.

Tymczasem Doniphan bardzo pragnął zbadać rozległe tereny South Moors, leżące po drugiej stronie Rio Zealand. Jednak zbyt ryzykowne było zapuszczanie się na te bagna, zalane w dużej części wodami jeziora, zmieszanych podczas przyływów z wodami morza.

Wilcox i Webb schwytali również pewną ilość aguti – zwierząt wielkości zajęcy, których białawe, nieco suche mięso przypominało w smaku coś pomiędzy mięsem królika a wieprza. Z pewnością trudno byłoby dopaść te szybkie gryzonie w biegu – nawet przy pomocy Phanna, jednak kiedy kryły się w swoich jamach, wystarczyło lekko zagwizdać, by je wywabić z norek i schwycić. Wielokrotnie też mali myśliwi przynosili skunksy, rosomaki i zorille¹, przypominające nieco kuny swoim pięk-

¹ *Skunks* (tu: skunks patagoński, surillo, *Conepatus humboldtii*) – drapieżny ssak z rodziny skunksowatych, zamieszkujący południową Argentynę i przyległe tereny Chile; *rosomak* (grizon, *Galictis vittata*) – drapieżny ssak z rodziny łasicowatych żyjący w Ameryce Południowej; występuje na otwartych

nym, czarnym futrem w białe paski, lecz rozprzestrzeniające cuchnące wonie.

– Jak one mogą znosić taki smród? – zapytał któregoś dnia Iverson.

– Cóż, to tylko kwestia przyzwyczajenia! – odpowiedział mu Service.

Podczas gdy *rio* dostarczało swój kontyngent *galaxias*, w Family Lake występowały większe gatunki, między innymi piękne pstrągi, które nawet po upieczeniu nie traciły swojego słonawego posmaku. Prawda, że zawsze można było liczyć na dobry połów pewnego rodzaju dorszy chowających się miriadami między algami i wodorostami Sloughi Bay. Następnie, kiedy wreszcie nadejdzie okres wędrówek łososi w górę nurtu Rio Zealand, Moko liczył na obfite zaopatrzenie spiżarni w mięso tych ryb, które po zasoleniu stanowiło znakomite jedzenie na sezon zimowy.

Właśnie w tym okresie na prośbę Gordona Baxter zajął się wytwarzaniem łuków z elastycznych gałęzi jesionu. Strzały robił z trzciny, uzbrajając je na końcu gwoździem, co pozwalało Wilcoxowi i Crossowi – najbardziej zręcznym po Doniphanie strzelcom – na ukończeniu od czasu do czasu jakiejś drobnej zwierzyny.

Tymczasem jednak, choć Gordon zawsze był przeciwny zużywaniu amunicji, nastąpiła niespodziewana okoliczność, w której został zmuszony do rezygnacji ze swego zwykłego skapstwa.

Pewnego dnia – było to siódmego grudnia – Doniphan rzekł mu na boku:

– Gordonie, ciągle jesteśmy napastowani przez szakale i lisy! Przychodzą nocą całymi stadami i niszczą nasze sidła, a na-

terenach trawiastych i w lasach, często w pobliżu zbiorników wodnych; *zorilla* (*Ictonyx striatus*) – drapieżny ssak z rodziny łasicowatych, żyjący w południowej i środkowej Afryce; zagrożony wystrzykuje w kierunku napastnika cuchnącą ciecz, podobną do skunksiej.

wet porywają złapane w nie zwierzęta...! Musimy z tym raz na zawsze skończyć!

– Nie można założyć na nie pułapek? – zapytał Gordon, doskonale wiedząc, do czego zmierza jego kolega.

– Pułapki...? – odpowiedział Doniphan, który nie stracił nic ze swojej pogardy dla tych wulgarnych metod polowania. – Pułapki...! Może gdyby chodziło jedynie o szakale, na tyle głupie, by od czasu do czasu w nie wpadać. Jeśli jednak chodzi o lisy, to zupełnie coś innego! To zwierzęta zbyt przebiegłe i nie ufają niczemu, mimo ostrożności, jakie podejmuje Wilcox! Którejś nocy przedrą się przez palisadę i nie pozostawią w kurniku ani jednego żywego ptaka!

– No cóż, skoro to konieczne... – odparł Gordon. – Zgadzam się na kilka tuzinów naboí, lecz starajcie się oddawać tylko celne strzały...!

– Dobrze, Gordonie, możesz na nas liczyć! W najbliższą noc ukryjemy się w zasadzce przy ścieżce, którą podążają, i urządzimy im taką masakrę, że długo ich tu nie zobaczymy!

Wyteńpienie ich było sprawą nagłą. Lisy z tych regionów, a szczególnie te z Ameryki Południowej, wydają się jeszcze bardziej przebiegłe od swoich pobratymców z Europy. W okolicach hacjend dokonują ustawicznie spustoszeń, mając dość inteligencji, by przegryźć skórzane rzemienie, którymi wiąże się na pastwiskach konie lub bydło.

Kiedy nadeszła noc, Doniphan, Briant, Wilcox, Baxter, Cross i Service usadowili się na poboczu *covert*¹ – jak w Zjednoczonym Królestwie nazywa się rozległe tereny pokryte krzakami i zaroślami. Takie *covert* znajdowało się blisko Traps Woods, od strony jeziora.

Phann nie został zabrany przez myśliwych, gdzie raczej przeszkadzałby, płosząc lisy. Poza tym nie było potrzeby szukania

¹ *Covert* (ang.) – zagajnik, kryjówka; ukryty, zamaskowany.

ich tropów. Nawet rozgrzany biegiem lis nie pozostawia za sobą zapachu lub jego emanacje są tak słabe, że najlepsze psy myśliwskie nie są w stanie ich wyczuć.

Było około jedenastej w nocy, gdy Doniphan i jego towarzysze rozłożyli się pomiędzy kępami dzikiego wrzosu porastającego *covert*.

Noc była niezwykle ciemna.

Panowała głęboka cisza, której nie mącił nawet najłżejszy podmuch wiatru, pozwalając usłyszeć lisy prześlizgujące się pośród wyschniętych traw.

Nieco po północy Doniphan zasygnalizował zbliżanie się stada tych zwierząt, pokonujących *covert*, by dojść do wodopoju nad jeziorem.

Myśliwi wyczekali nie bez zniecierpliwienia, aż zbierze się ich przynajmniej dwadzieścia sztuk, co trwało jakiś czas, lisy zbliżały się bowiem niezmiernie ostrożnie, jakby wyczuwając zasadzkę. Wreszcie na sygnał Doniphana rozległa się kano-nada. Żaden strzał nie chybił celu. Pięć czy sześć lisów potoczyło się po ziemi, podczas gdy pozostałe, przerażone, rzuciły się we wszystkie strony, w większości nie unikając śmiertelnych strzałów.

O świcie pomiędzy kępami traw porastających *covert* znaleziono dziesięć zastrzelonych lisów. Kiedy podczas trzech kolejnych nocy powtórzono taką masakrę, mała kolonia została uwolniona od ich niebezpiecznych wizyt, które zagrażały mieszkańcom zagrody. Ponadto zyskano około pięćdziesięciu pięknych szaro-srebrzystych skór, które, czy to jako dywany, czy jako ubrania, dodawały komfortu French Den.

Piętnastego grudnia przedsięwzięto wielką ekspedycję do Sloughi Bay. Pogoda była piękna, więc Gordon zdecydował, że wezmą w niej udział wszyscy koloniści, co najmłodsi przyjęli wielkimi oznakami radości.



Myśliwi wyczekali nie bez zniecierpliwienia,
aż zbierze się ich przynajmniej dwadzieścia sztuk.

Było bardzo możliwe, że gdyby wyruszyli o świcie, zdążyliby powrócić przed nocą. Gdyby jednak wydarzyło się coś niespodziewanego, będą zmuszeni spędzić jedną noc na pod drzewami.

Głównym celem wyprawy było polowanie na foki odwiedzające Wreck Coast w okresie chłódów. Rzeczywiście, produkty służące do oświetlenia, które zostały w dużej mierze zużyte podczas wieczorów i nocy tej długiej zimy, miały się wkrótce wyczerpać. Z zapasu świec zrobionych przez francuskiego rozbitek pozostały zaledwie dwa lub trzy tuziny. Jeśli chodzi o olej zawarty w baryłkach ze „Sloughi”, który służył do zasilania latarni okrętowych palących się w hallu, zużyto większą jego część, co poważnie niepokoiło przezornego Gordona.

Wprawdzie Moko zaoszczędził sporą ilość tłuszczu, którego dostarczały ustrzelone zwierzęta: przeżuwacze, gryzonie i ptactwo, ale było pewne, że te zapasy szybko zostaną wyczerpane przez codzienne użytkowanie. Otóż czy nie było możliwe uzupełnienie ich substancją, której dostarcza natura w stanie gotowym lub prawie gotowym do użycia? Czy z braku oleju roślinnego koloniści nie mogli sobie zapewnić zapasu, że tak powiem niegraniczonego, czyli oleju pochodzenia zwierzęcego?

Oczywiście, że tak, gdyby myśliwym udało się zabić pewną ilość otarii – tych pokrytych futrem zwierząt z rodziny fokowatych¹, które w letniej porze dokazywały na rafach w Sloughi Bay. Należało się spieszyć, ponieważ te amfibie wkrótce miały wyruszyć dalej na południe, w rejony Oceanu Antarktycznego.

¹ *Otaria* (uchatka patagońska, *Otaria flavescens*) – morski ssak drapieżny z rodziny uchatkowatych, występujący u południowych wybrzeży Ameryki Południowej; *fokowate* (foki, *Phocidae*) – dawniej do tej rodziny zaliczano też zwierzęta z rodziny uchatkowatych; wcześniej J. Verne twierdził, że chodzi o kotiki.

Zaplanowana ekspedycja miała zatem wielkie znaczenie i dlatego przygotowania do niej przeprowadzono w sposób gwarantujący jej powodzenie.

Od pewnego czasu Service i Garnett przykładali się, i to z dużym sukcesem, do przygotowania obydwu gwanaków do roli zwierząt pociągowych. Baxter wykonał dla nich z grubego żaglowego płótna chomąta wypełnione trawą, a chociaż nie próbowano jeszcze dosiąść tych zwierząt, to przynajmniej można było je zaprząć do wozu. Było to lepsze niż zaprzęgać siebie samych.

Tego dnia załadowano na wóz amunicję, zapasy żywności i liczne przybory – między innymi wielki rondel i pół tuzina pustych baryłek, które miano nadzieję wypełnić olejem z fok. Rzeczywiście lepiej było ćwiartować zwierzęta na miejscu, niż przywozić je do French Den, gdzie skażono by powietrze niezdrowymi wyziewami.

Wyruszyli o wschodzie słońca i przez pierwsze dwie godziny posuwali się bez większych trudności. Jeżeli fura nie jechała zbyt szybko, to dlatego, że nierówny grunt prawego brzegu Rio Zealand niezbyt się nadawał dla pojazdu zaprzęzonego w gwanaki. Ale droga stała się jeszcze trudniejsza, kiedy wyprawa okrążyła trzęsawisko Bog Woods i znalazła się między drzewami. Najbardziej odczuły to słabe nogi Dole'a i Costara, dlatego Gordon na prośbę Brianta pozwolił im zająć miejsce na wozie, by mogli odpocząć bez potrzeby przerywania podróży.

Około ósmej, kiedy zaprzęg poruszał się bardzo ciężko na granicy trzęsawiska, okrzyki Crossa i Webba, którzy szli nieco z przodu, przywołały najpierw Doniphana, a następnie pozostałych chłopców.

W odległości około stu kroków w mułach Bog Woods tarzało się wielkie zwierzę, które młody myśliwy natychmiast rozpoznał. Był to tłusty, różowy... hipopotam, który na swoje

szczęście zniknął pod gęstą gmatwaniną bagiennych roślin, zanim można było oddać strzał. Jaki byłby pożytek z takiego bezużytecznego strzału?

– Co to było za grube zwierzę? – zapytał Dole, dość zaniepokojony już samym faktem, że je zobaczył.

– To hipopotam! – odpowiedział mu Gordon.

– Hipopotam...! Jaka zabawna nazwa!

– To znaczy „koń rzeczny” – powiedział Briant.

– Przecież wcale nie przypomina konia! – zauważył słusznie Costar.

– Jasne, że nie! – krzyknął Service. – Moim zdaniem powinno się go nazywać wieprzopotamem!

Refleksja, której nie brakowało racji, wywołała wybuch śmiechu malców.

Było już trochę po dziesiątej rano, kiedy Gordon z kolegami weszli na plażę Sloughi Bay. Postój wyznaczono blisko brzegu *rio*, w miejscu, gdzie założyli pierwsze obozowisko podczas rozbiórki jachtu.

Na plaży było około setki fok, które podskakiwały między skałami lub wygrzewały się w słońcu. Niektóre z nich figlowały nawet na piasku przed barierą raf.

Te ziemno-wodne zwierzęta musiały być niezbyt oswojone z obecnością człowieka. Być może nigdy go nawet nie widziały, skoro śmierć francuskiego rozbitka nastąpiła ponad dwadzieścia lat temu. Dlatego też, mimo wrodzonej ostrożności przed ludźmi polującymi na nie w okolicach arktycznych i antarktycznych, nawet najstarsze w stadzie foki nie stały na straży, by czuwać nad bezpieczeństwem innych osobników. Jednak należało się bardzo wystrzegać, by ich przedwcześnie nie wystraszyć, gdyż w kilka chwil opuściłyby to miejsce.

Natychmiast gdy tylko przybyli nad Sloughi Bay, młodzi koloniści przenieśli swoje spojrzenia ku horyzontowi, tak szeroko rozciągającemu się między American Cape a False Sea Point.

Ocean był zupełnie pusty. Stanowiło to kolejny dowód, że ten region wydawał się leżeć daleko od uczęszczanych morskich szlaków.

Tymczasem mogło się jednak zdarzyć, że jakiś statek pojawi się w polu widzenia. W takim przypadku punkt obserwacyjny umieszczony na grzbiecie Auckland Hill lub na szczycie False Sea Point, gdzie zostałyby wciągnięte jedno z dział ze *schoonera*, byłby lepszy niż maszt sygnałowy, by przyciągnąć uwagę. Wymagałoby jednak trzymania warty w dzień i w nocy daleko od French Den. Gordon uznał więc taki pomysł za niewykonalny. Przyznał mu rację nawet Briant, którego cały czas tak bardzo absorbowała kwestia powrotu do ojczyzny. Chłopcy bardzo żalowali, że French Den nie leżała z tej strony Auckland Hill, gdzie rozciągał się widok na Sloughi Bay.

Po szybkim posiłku, w chwili kiedy południowe słońce zapraszało foki do wygrzewania się na wybrzeżu, Gordon, Briant, Doniphan, Cross, Baxter, Webb, Wilcox, Garnett i Service szykowali się do polowania na nie. W tym czasie Iverson, Jenkins, Jacques, Dole i Costar mieli pozostać w obozowisku pod opieką Moko, podobnie jak Phann, którego nie wolno było wypuścić na stado fok. Ktoś zresztą musiał przypilnować gwanak, które pasły się pod drzewami na skraju lasu.

Na wyprawę zabrano z kolonii całą broń palną, fuzje i rewolwery wraz z amunicją w wystarczającej ilości, a Gordon tym razem się nie targował, gdyż chodziło o wspólny interes.

Przed wszystkim należało odciąć fokom drogę ucieczki do morza. Dowodzenie tą akcją chłopcy chętnie powierzyli Doniphanowi, który postanowił, że przejdą wzdłuż *rio* aż do jego ujścia, kryjąc się za wyniosłościami brzegu. Stamtąd łatwo będzie się przemieszczać wzdłuż raf i osaczyć foki na plaży.

Plan Doniphana zrealizowano z wielką ostrożnością. Młodzi myśliwi, rozstawieni w odstępach od trzydziestu do czterdzie-

stu kroków jeden od drugiego, utworzyli wkrótce półokrąg pomiędzy piaszczystym wybrzeżem a morzem.

Wówczas na znak dany przez Doniphana wszyscy się zerwali, równocześnie rozległ się huk; każdy strzał był celny.

Te foki, które nie zostały trafione, zerwały się gwałtownie, poruszając ogonami i płetwami. Przestraszone hukiem wystrzałów rzuciły się, podskakując, ku rafom.

Ściągały je kule rewolwerów. Doniphan był w swoim żywiole i dokonywał cudów, podczas gdy jego towarzysze naśladowali go, jak umieli najlepiej.

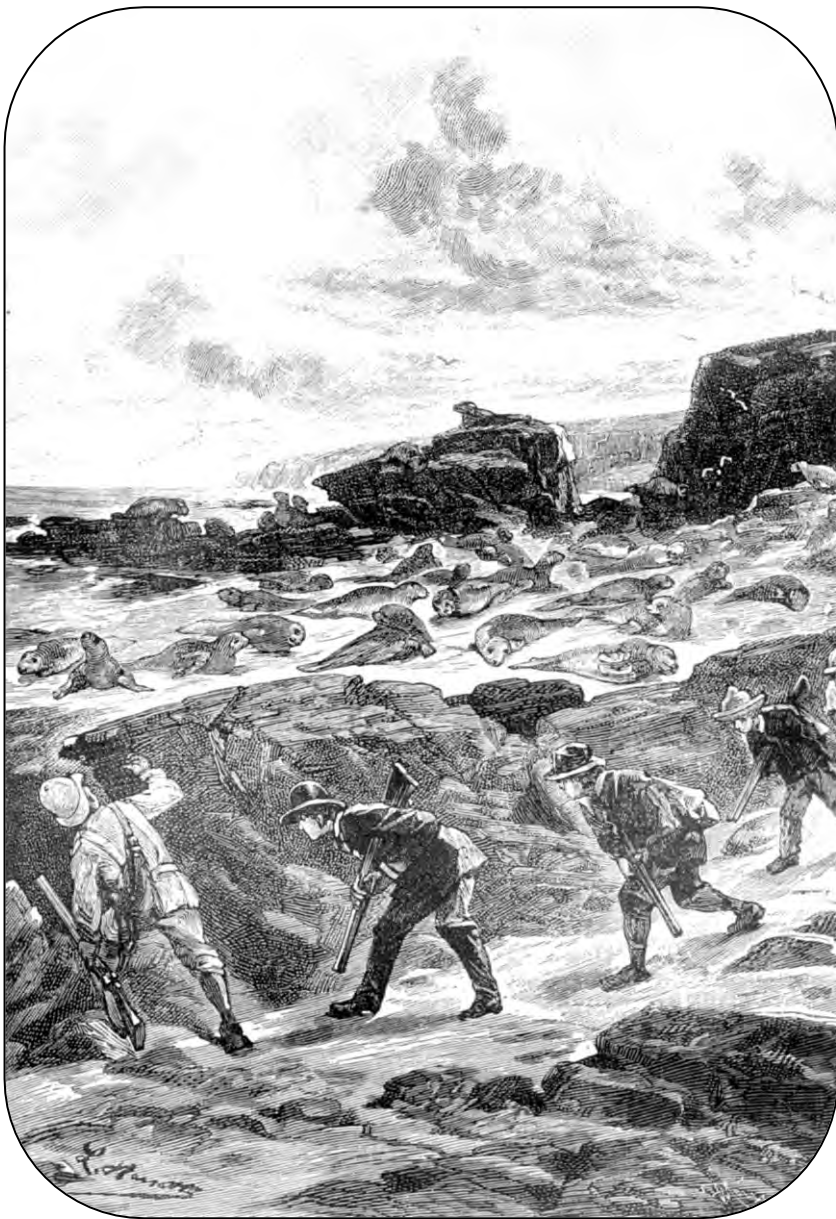
Masakra trwała zaledwie kilka minut, mimo że amfibie były ścigane aż do ostatniego pierścienia skalistych raf. Pozostałe przy życiu foki zniknęły poza nimi, a na wybrzeżu pozostało około dwudziestu zabitych lub rannych.

Wyprawa była w pełni udana, a myśliwi, powróciwszy do obozowiska, rozłożyli się pod drzewami na najbliższych trzydzieści sześć godzin.

Po południu chłopcy zajęli się pracą, która była dość odrażająca. Było to jednak konieczne, więc przyłączyli się do niej wszyscy, nawet Gordon. Najpierw należało przyciągnąć na plażę wszystkie foki, które padły pomiędzy rafami. Chociaż zwierzęta nie były zbyt wielkie, sprawiło im to sporo trudności.

W tym czasie Moko ustawił na dwóch dużych kamieniach wielki rondel i rozpałił pod nim ognisko. Mięso fok poćwiartowano na pięcio-, sześćofuntowe kawałki i umieszczono w rondlu, napelnionym wcześniej słodką wodą z *rio*, zaczerpniętą podczas odpływu. Wystarczyło kilka chwil, by na powierzchni wrzątku pojawił się jasny olej, którym sukcesywnie napelniano kolejne baryłki.

Ze względu na rozchodzące się przykre zapachy trudno było wytrzymać w pobliżu ogniska. Chłopcy zatykali sobie nosy, lecz



Plan Doniphana zrealizowano z wielką ostrożnością.

nie uszy, co pozwalało słyszeć żarty, do których prowokowało to nieprzyjemne zajęcie. Nawet delikatny „lord Doniphan” nie wzbraniał się przed tą pracą, którą kontynuowano również następnego dnia.

Pod koniec drugiego dnia Moko miał już kilkaset galonów oleju. Wydawało się, że jest to dostateczna ilość, by zapewnić oświetlenie we French Den na cały czas następnej zimy. Foki zresztą nie powróciły już na skały ani na brzeg i niewątpliwie nie miały się pojawić na wybrzeżu Sloughi Bay do czasu, kiedy zapomną o strachu.

Następnego dnia rano cały obóz już od świtu był na nogach, jak można twierdzić – ku ogólnemu zadowoleniu. Poprzedniego wieczora załadowano na wóz baryłki, wszystkie narzędzia i przybory. Ponieważ wóz w drodze powrotnej był znacznie cięższy, gwanaki nie mogły ciągnąć go zbyt szybko, dodatkowo bowiem teren wznosił się wyraźnie w kierunku Family Lake.

W chwili wyjazdu powietrze ponownie wypełniły ogłuszające krzyki tysięcy drapieżnych ptaków, błotniaków¹ i sokołów, nadlatujących z głębi wyspy i zaciekle rzucających się na resztki fok, po których wkrótce nie pozostało ani śladu.

Po oddaniu ostatniego salutu fladze Zjednoczonego Królestwa łopoczącej na szczycie Auckland Hill, po ostatnim rzuceniu oka na horyzont oceanu mała gromada wyruszyła w drogę powrotną wzdłuż prawego brzegu Rio Zealand.

Powrotu nie zakłócił żaden incydent, a mimo trudnego terenu gwanaki spisały się dzielnie, wspomagane w trudniejszych miejscach ramionami starszych chłopców – wyprawa powróciła więc do French Den przed szóstą wieczorem.

¹ *Błotniaki (Circinae)* – podrodzina wędrownych ptaków z rodziny jastrzębiowatych; obejmuje gatunki drapieżne zamieszkujące półkulę północną, Afrykę i Australazję.

Następny dzień i kolejne zostały poświęcone na zwykłe zajęcia. Olej z fok wypróbowano w lampach latarni okrętowych i choć, jak stwierdzono, dostarczał dość słabego światła, powinno ono wystarczyć do oświetlenia wnętrza hallu i Story Roomu. Nie musieli więc obawiać się ciemności podczas długich zimowych miesięcy.

Tymczasem zbliżało się *Christmas*, tak radośnie świętowany przez Anglosasów dzień Bożego Narodzenia. Gordon chciał, nie bez powodu, by obchodzono je jak najbardziej uroczystie. Byłoby to jakby wspomnienie skierowane ku utraconej ojczyźnie, jakby przesłanie ich serc ku nieobecnym rodzinom! Ach, gdyby można było usłyszeć wszystkie te dzieci, zdające się wołać: „Jesteśmy tutaj... wszyscy! Żywi... naprawdę żywi! Jeszcze nas zobaczycie...! Bóg nas do was zaprowadzi!”. Tak...! Oni jeszcze zachowywali nadzieję, której nie mieli już ich rodzice gdzieś tam w Auckland – nadzieję, że ujrzą ich pewnego dnia!

Gordon obwieścił więc, że dwudziesty piąty i dwudziesty szósty grudnia będą dniami świątecznymi we French Den. Na te dwa dni zostaną zawieszone wszelkie prace. Pierwsze *Christmas* na Wyspie Chairmana będą tym, czym są w wielu krajach Europy – najważniejszymi dniami w roku.

Można sobie łatwo wyobrazić, z jaką radością przyjęto propozycję Gordona! Było oczywiste, że dwudziestego piątego grudnia będzie wystawna uczta, na którą Moko obiecywał różne cuda. Obaj z Service'em nie przestawali tajemniczo szeptać o tym, podczas gdy Dole i Costar z góry się oblizując, usiłowali odkryć sekret ich narad. Zresztą kredens był na tyle dobrze zaopatrzony, by dostarczyć składników na uroczysty posiłek.

Nadszedł wielki dzień. Powyżej drzwi do hallu, od zewnątrz, Baxter i Wilcox artystycznie rozmieścili liczne chorągiewki, proporczyki i flagi ze „Sloughi”, co nadało French Den niezwykle świąteczny wygląd.

Wczesnym rankiem głośny wystrzał armatni obudził wesołe echa w Auckland Hill. To było jedno z działek, ustawione w okienku hallu, które odpalił Doniphan na cześć *Christmas*.

Malcy pospieszyli zaraz do starszych chłopców z życzeniami, które spotkały się z prawie ojcowską reakcją. Były nawet powinszowania dla przywódcy Wyspy Chairmana, które dość zgrabnie wyrecytował Costar.

Na tę okoliczność każdy włożył swoje najlepsze ubranie. Pogoda była wspaniała, więc przed i po śniadaniu był czas na spacery wzdłuż jeziora i różne gry na Sport Terrace, w których wszyscy chcieli brać udział. Na pokład jachtu zabrali przecież sprzęt do wielu gier, tak bardzo popularnych w Anglii: bule, piłki, kije i rakiety do golfa, który polega na trafianiu kauczukowymi piłeczkami do dołków wykopanych w sporych odległościach; do footballu, w którym skórzaną piłkę uderza się nogami; do gry w *bowls*, w której rzucanym ręcznie drewnianym kulom należy zręcznie nadawać odpowiedni kierunek w związku z ich owalnym kształtem; i wreszcie do gry *fives*¹, która polega na odbijaniu piłki o ścianę.

Dzień był dobrze wypełniony zabawami, którym z wielką radością oddawali się zwłaszcza malcy. Wszyscy bawili się znakomicie. Nie doszło do żadnych sprzeczek czy kłótni. Briant starał się szczególnie zabawiać Dole'a, Costara, Iversona i Jenkinsa, ale nie potrafił spowodować, by przyłączył się do nich jego młodszy brat Jacques. Mimo uwag rozsądnego Gordona odrębną grupę utworzył Doniphan ze swoimi kolegami – Webbem, Crossem i Wilcoxem. Kiedy wreszcie ponowny wystrzał armatni obwieścił porę obiadu, młodzi biesiadnicy radośnie podążyli zająć miejsca w jadalni Store Roomu.

¹ *Fives* (ang. „piątki”) – gra podobna zarazem do squasha i tenisa ziemnego, polegająca na odbijaniu piłki o ścianę gołymi rękoma przez dwie lub cztery osoby, popularna w Anglii.



Moko przeszedł doprawdy samego siebie w doborze menu.

Na wielkim stole przykrytym ładnym białym obrusem centralne miejsce zajmowała choinka ustawiona w dużym garnku, otoczona zielenią i kwiatami. Z jej gałązek zwisały małe chorągiewki w barwach Zjednoczonego Królestwa, Stanów Zjednoczonych i Francji.

Moko przeszedł doprawdy samego siebie w doborze menu i był niezwykle dumny z pochwał prawionych jemu samemu i jego wspaniałemu pomocnikowi Service'owi. *Christmas* na Wyspie Chairmana uświetniły wspaniałe dania: duszone aguti, potrawka ze smażonych kusaczy, pieczony zając nadziany aromatycznymi ziołami, drop z uniesionymi skrzydłami i dzio-bem, podany jak bażant, trzy puszki konserwowanych warzyw, pudding, i to jaki pudding! – podany w formie piramidy z korynckimi rodzynekami i owocami algarrobo, które od ponad tygodnia moczyły się w brandy, wreszcie kilka kieliszków claretu i sherry oraz likiery, kawa i herbata do deserów – doprawdy było czym wspaniale świętować rocznicę Bożego Narodzenia na Wyspie Chairmana.

Wtedy Briant wzniosł serdeczny toast na cześć Gordona, który odpowiedział mu, pijąc za zdrowie małej kolonii i za pamięć nieobecnych rodzin.

W końcu – co było bardzo wzruszające – podniósł się Costar i w imieniu najmłodszych podziękował Briantowi za poświęcenie, którego dowody wielokrotnie im dawał.

Briant nie potrafił opanować wzruszenia, kiedy rozbrzmiały gromkie okrzyki „hurra!” na jego cześć – „hurra!”, które nie znalazły oddźwięku jedynie w sercu Doniphana.



Rozdział XVII

Przygotowania do następnej zimy – Propozycja Brianta –
Wyjazd Brianta, Jacques’a i Moko – Przeprowa przez Family
Lake – East River¹ – Mały port przy ujściu – Morze na
wschodzie – Jacques i Briant – Powrót do French Den

Tydzień później rozpoczął się rok 1861, a w tej części południowej półkuli nowy rok rozpoczyna się w pełni lata.

Minęło już blisko dziesięć miesięcy, odkąd młodzi rozbitkowie ze „Sloughi” zostali wyrzuceni na wyspę, tysiąc osiemset lig od Nowej Zelandii!

Należy przyznać, że w tym czasie w ich sytuacji powoli następowała poprawa. Wydawało się nawet, że potrafią się zatroszczyć o wszelkie swoje potrzeby materialne. Pozostawali jednak samotni na tej nieznanej ziemi! Czy pomoc z zewnątrz – jedyna, na jaką mogli liczyć – wreszcie nadejdzie, i to jeszcze przed końcem letniej pory? Czy kolonia będzie skazana na znoszenie surowości drugiej antarktycznej zimy? Jak dotąd, co prawda, nie doświadczyli jeszcze żadnych poważniejszych chorób. Wszyscy, młodszy i starsi, czuli się na tyle dobrze, jak było to możliwe. Dzięki roztropności Gordona, który wszystko trzymał twardą ręką – co czasem prowokowało protesty przeciwko jego surowości – nie popełniono żadnej lekkomyślności, nie doszło do żadnego ekscesu. Czy jednak nie należało się liczyć z dolegliwościami, których doświadczają dzieci w ich wieku, szczególnie te najmłodsze? W sumie, jeżeli obecna sytuacja była możliwa do przyjęcia, przyszłość ciągle pozostawała wielką niewiadomą.

¹ *East River* (ang.) – Rzeka Wschodnia.

Dlatego też za wszelką cenę – o czym nieustannie marzył Briant – należało opuścić Wyspę Chairmana! Lecz jak tego dokonać, dysponując jedynie jedną łodzią, tą kruchą łupiną, jolką? Jakże odważyć się na długi rejs, jeżeli wyspa nie należała do któregoś z archipelagów na Pacyfiku, albo jeśli najbliższy kontynent znajdował się w odległości kilkuset mil? Gdyby nawet dwaj lub trzej najśmielsi z nich poświęcili się, by szukać jakiegoś lądu na wschodzie, jakie mieliby szanse, by do niego dotrzeć?! Czy potrafiliby wybudować na tyle duży statek, by pokonać te rejony Pacyfiku? Nie, na pewno nie! To było ponad ich siły, a Briant nie wiedział, co wymyślić, by wszystkich uratować!

Mogli więc jedynie czekać, ciągle czekać, pracując, by uczynić możliwie wygodnym French Den – tylko tyle mogli zrobić. Jeżeli nie tego lata – teraz trzeba było bowiem poczynić przygotowania do sezonu zimowego – to w przyszłym roku młodzi koloniści powinni dokończyć rozpoznanie całej wyspy.

Każdy więc zabrał się energicznie do pracy. Doświadczenie wskazywało, jakie surowe bywają na tych szerokościach geograficznych zimy. Przez tygodnie, a nawet miesiące, niepogoda będzie ich zmuszać do pozostawania w hallu i byłoby nierozważą nie zabezpieczyć się przed głodem i chłodem – dwoma wrogami, których najbardziej należało się obawiać.

Walka z chłodem we French Den była kwestią opału, a jesienią, która była tak krótka, Gordon musiał zgromadzić wystarczającą ilość drewna, by w dzień i w nocy palić w piecach, zanim zima dobiegnie końca. Czy nie powinno się również pomyśleć zawczasu o zwierzętach domowych, zamkniętych w zagrodzie i kurniku? Trzymanie ich w Store Room byłoby niezmiernie kłopotliwe, a nawet niebezpieczne ze względów higienicznych. Konieczne więc było zabezpieczenie szopy w zagrodzie przed niskimi temperaturami i ogrzanie jej piecem, by

utrzymać wewnątrz znośne warunki. Tym właśnie zajęli się Baxter, Briant, Service i Moko w pierwszym miesiącu nowego roku.

Co się zaś tyczy nie mniej ważnego problemu zaopatrzenia w pożywienie na długie zimowe miesiące, zajęli się tym Doniphan i polujący z nim koledzy. Każdego dnia sprawdzali doły, sidła i sieci. Wszystko, czego nie przeznaczano na bieżące potrzeby, odkładano do spiżarni, czy to w formie mięsa solonego, czy wędzonego, które Moko jak zwykle przygotowywał bardzo starannie. Tak właśnie gromadzono zapasy, mogące wystarczyć nawet na długą i srogą zimę.

Tymczasem należało bezwzględnie odbyć następną wyprawę. Jej głównym celem nie było poznanie wszystkich nieznanych terytoriów Wyspy Chairmana, lecz jedynie części leżącej na wschód od Family Lake. Czy znajdowały się tam lasy, bagna albo wydmy? Kryła jakieś bogactwa, które mogły być użyteczne dla kolonistów?

Któregoś dnia Briant rozmawiał o tym z Gordonem, mając zresztą całkiem inne podejście do zagadnienia.

– Chociaż mapa rozbitka Baudoina jest narysowana z pewną dokładnością, o czym mogliśmy się przekonać – powiedział – warto byłoby się przyjrzeć Pacyfikowi na wschodzie. Mamy do dyspozycji doskonałe lunety, których mój rodak nie miał, a kto wie, czy nie zobaczymy lądu, którego on nie dostrzegł? Jego mapa przedstawia Wyspę Chairmana jako odosobnioną w tych okolicach, a może wcale tak nie jest?

– Stale myślisz o tym samym – odparł Gordon. – Spieszno ci stąd wyjechać?

– Tak, Gordonie, i w głębi duszy jestem pewny, że myślisz tak samo jak ja! Czy nie powinniśmy kierować wszystkich naszych wysiłków ku temu, by jak najszybciej powrócić do kraju?

– Zgoda! – odparł Gordon. – Skoro tak nalegasz, zorganizujemy następną wyprawę...

– Wyprawę, w której wszyscy wezmą udział...? – zapytał Briant.

– Nie – odparł Gordon. – Myślę, że wystarczy sześciu lub siedmiu kolegów...

– To zbyt wielu, Gordonie! Tak liczna grupa nie będzie mogła postąpić inaczej jak obejść jezioro od północy lub południa. Czy jesteś pewny, że nie będzie to wymagało zbyt wiele czasu i trudów?

– Co więc proponujesz, Briancie?

– Proponuję od French Den przepłynąć jezioro jolką, by dotrzeć do przeciwległego brzegu, i dlatego może nas być jedynie dwóch lub trzech.

– Kto będzie kierował jolką?

– Moko – odparł Briant. – Potrafi manewrować szalupą, a ja też trochę się na tym znam. Z pomocą żagla, jeśli wiatr będzie sprzyjający, lub dwóch wioseł, jeżeli będzie przeciwny, powinniśmy spokojnie przepłynąć te pięć czy sześć mil, jakie ma jezioro w kierunku tego cieku, który według mapy przepływa przez lasy na wschodzie. W ten sposób dostaniemy się aż do jego ujścia.

– Rozumiem, Briant, i zgadzam się z twoim pomysłem – powiedział Gordon. – Kto będzie towarzyszył Moko?

– Ja, Gordonie, skoro nie brałem udziału w wyprawie na północ jeziora. Teraz ja chciałbym być użyteczny... i domagam się tego.

– Użyteczny! – wykrzyknął Gordon. – Och, mój drogi Briancie, czy już nie oddałeś nam tysięcznych usług? Czy nie poświęcałeś się bardziej niż inni? Czy to nie my powinniśmy być tobie wdzięczni?

– Daj spokój, Gordonie! Każdy z nas robi, co do niego należy! Powiedz, zgadzasz się?

– Tak, jest uzgodnione! Kogo weźmiesz jako trzeciego towarzysza drogi? Nie proponuję ci Doniphana, ponieważ nie za bardzo się ze sobą zgadzacie...

– Och, chętnie bym go zabrał – odparł Briant. – Doniphan nie jest taki zły: jest odważny i zręczny, a gdyby nie jego zawistny charakter, byłby świetnym kompanem. Poza tym z czasem się zmieni, kiedy zrozumie, że nie pragnę ani nikogo wyprzedzać, ani nad nikim górować. Wtedy, jestem tego pewny, staniemy się najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Myślałem jednak o innym towarzyszu tej podróży.

– O kim...?

– O moim bracie Jacques'u. Jego zachowanie coraz bardziej mnie martwi. Z pewnością zarzuca sobie coś ciężkiego, o czym nie chce mi powiedzieć. Może podczas tej podróży, kiedy będziemy sam na sam...

– Masz rację, Briancie. Zabierz ze sobą Jacques'a i już od dziś zacznij przygotowania do wyprawy.

– Nie zajmie mi to zbyt dużo czasu – odparł Briant – ponieważ będziemy nieobecni najwyżej przez dwa lub trzy dni.

Tego samego dnia Gordon powiadomił wszystkich o planowanej ekspedycji. Doniphan był bardzo rozżalony, że nie weźmie w niej udziału. Poskarżył się Gordonowi, który wytłumaczył mu jej wyjątkowe warunki i fakt, że mogą w niej wziąć udziału tylko trzy osoby, a Briant jako pomysłodawca może sobie sam dobrać towarzystwo.

– Tu wszystko jest dla niego, nieprawdaż Gordonie? – odparł Doniphan.

– Jesteś niesprawiedliwy, Doniphanie, tak wobec niego, jak i wobec mnie!

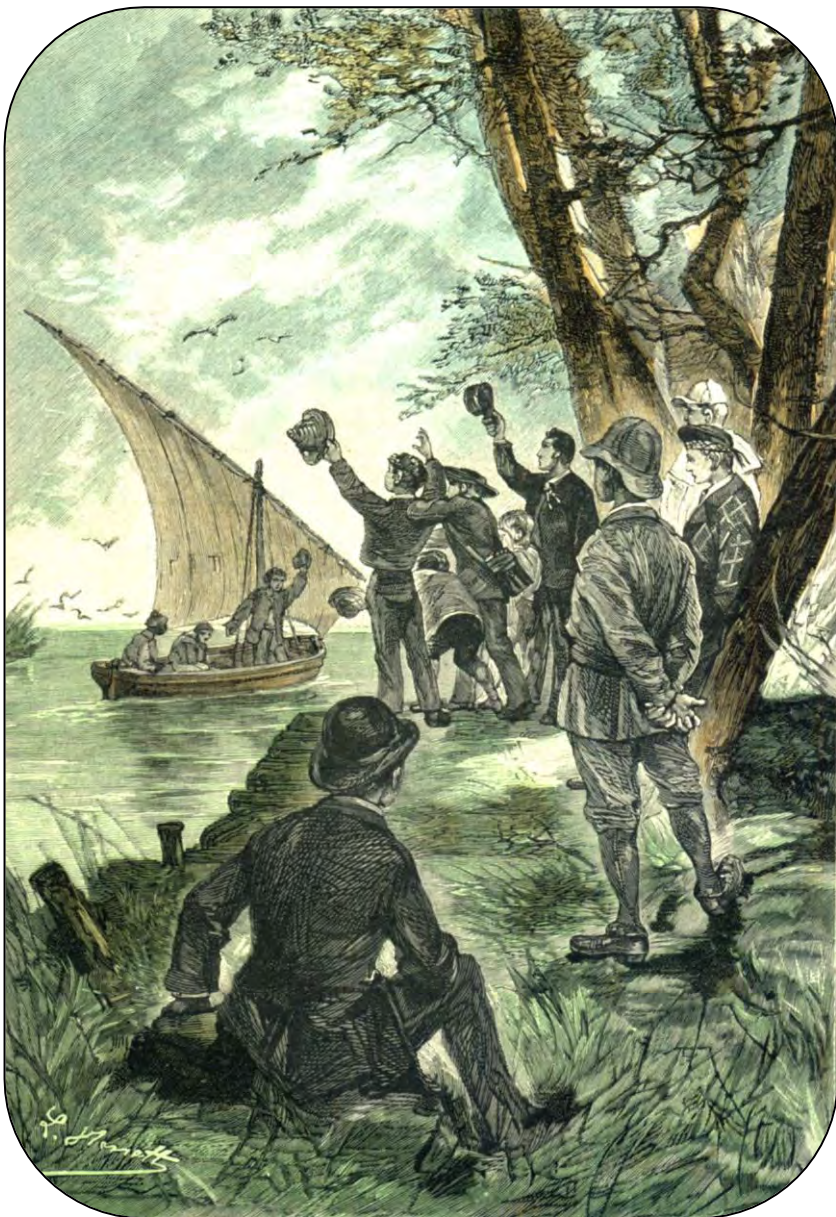
Doniphan dłużej nie nalegał i odszedł do swoich przyjaciół Wilcoxa, Crossa i Webba, przy których mógł swobodnie wyładować swój zły humor.

Kiedy chłopiec okrętowy dowiedział się, że tymczasowo zamieni rolę kucharza na rolę szefa jolki, nie ukrywał zadowolenia. Myśl, że wyrusza z Briantem, jeszcze podwoiła jego radość. Co do jego zastępcy przy kuchni w Story Room, to naturalnie został nim Service, który cieszył się na myśl, że będzie mógł nareszcie pofolgować swoim fantazjom bez niczyjej kontroli. Jeśli chodzi o Jacques'a, to wydawało się, że odpowiadał mu pomysł opuszczenia French Den na kilka dni w towarzystwie brata.

Jolka została natychmiast przygotowana do drogi. Wyposażona była w niewielki łaciński żagiel, który Moko przymocował do rei i zwinął wzdłuż masztu. Załadowano również dwie fuzje i trzy rewolwery wraz z dostateczną ilością amunicji, trzy posłania podróżne, zapas jedzenia i picia, nieprzemakalne płaszcze na wypadek deszczu, dwa wiosła i parę zapasowych – takie było niezbędne wyposażenie wyprawy, która nie miała trwać zbyt długo. Nie zabrakło też kopii mapy francuskiego rozbitka, na której w miarę badania mieli dodawać nowe nazwy.

Czwartego lutego około ósmej rano, pożegnawszy się z towarzyszami, Briant, Jacques i Moko wsiedli do łódki nieopodal grobli na Rio Zealand. Była ładna pogoda, a od południowego zachodu wiała lekka bryza. Podniesiono żagiel, a Moko, usadowiwszy się w tylnej części, chwycił z ster, pozostawiając Briantowi zajmowanie się szotem¹. Chociaż powierzchnię jeziora marszczyły tylko od czasu do czasu lekkie podmuchy, jolka poczuła powiew bryzy, kiedy tylko odpłynęli dalej od brzegu, i stopniowo nabierała prędkości. Pół godziny później Gordon i pozostali chłopcy obserwujący łódkę ze Sport Terrace widzieli jedynie czarny punkt, który wkrótce zniknął.

¹ Szot – na żaglowcu lina olinowania ruchomego służąca do ustawiania wolnego rogu żagla najkorzystniej względem kierunku wiatru; napina pracujący żagiel i biegnie od niego w dół do pokładu, w stronę rufy.



Czwartego lutego około ósmej rano, pożegnawszy się z towarzyszami, Briant, Jacques i Moko wsiedli do łódki.

Moko siedział w tyle łódki, Briant pośrodku, a Jacques usadowił się z przodu, przy maszcie. Jeszcze przez godzinę w zasięgu ich wzroku znajdowały się wysokie grzbiety Auckland Hill, które niebawem zniknęły za horyzontem. Nadal nie widzieli przeciwległego brzegu jeziora, choć nie powinien być zbyt odległy. Jednak na nieszczęście, jak to zazwyczaj bywa, kiedy słońce zaczyna grzać mocniej, wiatr zaczynał słabnąć i około południa objawiał się zaledwie kapryśnymi lekkimi podmuchami.

– Szkoda, że wiatr nie utrzymał się przez cały dzień...! – powiedział Briant.

– Byłoby bardziej przykre, panie Briant – odparł Moko – gdyby zaczął wiać w przeciwną stronę!

– Jesteś filozofem, Moko!

– Nie wiem, co pan rozumie przez to słowo – odpowiedział chłopiec okrętowy – ale ja, cokolwiek się wydarzy, nie mam nigdy zwyczaju narzekać!

– No i dobrze, bo to właśnie jest filozofia!

– Niech będzie filozofia, ale bierzmy się do wiosła, panie Briant. Dobrze byłoby dopłynąć do drugiego brzegu przed nocą. W końcu, jeśli to nam się nie uda, trzeba będzie pogodzić się z losem.

– Zróbmy, jak powiedziałeś, Moko. Ja wezmę jedno wiosło, ty drugie, a Jacques będzie sterował.

– Właśnie tak – odparł chłopiec okrętowy. – Jeżeli pan Jacques będzie dobrze sterował, pokonamy spory kawałek drogi.

– Będiesz mi mówił, Moko, jak mam sterować – powiedział Jacques – a ja będę postępował według twoich wskazówek najlepiej, jak potrafię.

Moko zwinął żagiel, który już nawet nie łopotał, gdyż wiatr całkowicie ucichł. Trzej chłopcy pospiesznie coś przekąsili, po

czym Moko usadowił się z przodu, Jacques przeszedł na tył łódki, a Briant został pośrodku. Jolka, mocno pchana wiosłami, ruszyła i skierowała się nieco na północny wschód, zgodnie ze wskazaniem busoli.

Łódka znajdowała się wówczas pośrodku rozległego obszaru wód, jakby była na otwartym morzu, a powierzchnię jeziora ograniczała kolista linia nieba. Jacques uważnie patrzył na wschód, by dostrzec, czy z tej strony nie ukaże się brzeg przeciwległy w stosunku do położenia French Den.

Około trzeciej Moko, wzięwszy lunetę, mógł stwierdzić, że rozpoznaje jakieś zarysy lądu. Chwilę później Briant potwierdził, że Moko się nie mylił. O czwartej powyżej dość niskiego brzegu ukazały się wierzchołki drzew, co wyjaśniało, dlaczego Briant ze szczytu False Sea Point wcześniej ich nie dojrzał. Tak więc na Wyspie Chairmana nie było innych większych wyniosłości poza Auckland Hill, wznoszącym się między Sloughi Bay a Family Lake.

Do wschodniego brzegu pozostało im jeszcze nie więcej niż dwie i pół lub trzy mile. Briant i Moko ostro wiosłowali, co było dość męczące, zważywszy na panujący upał. Tafla jeziora była gładka jak lustro. Często przejrzystość wody pozwalała dojrzeć na głębokości dwunastu, piętnastu stóp dno porośnięte trawami wodnymi, pomiędzy którymi uwijały się miriady rybek.

Wreszcie około szóstej wieczorem jolka przybiła do podnóża wysokiego brzegu, nad którym zwisał gęsty wieniec gałęzi dębów ostrolistnych i sosen nadmorskich¹. Chłopcy nie mogli przybić do tego dość wysokiego brzegu, musieli więc płynąć wzdłuż niego jeszcze mniej więcej pół mili w kierunku północnym.

¹ *Sosna nadmorska* (*Pinus pinaster*) – gatunek drzewa z rodziny sosnowatych; naturalnie występuje w basenie Morza Śródziemnego.



Wreszcie około szóstej wieczorem jolka przybiła do podnóża wysokiego brzegu, nad którym zwiślał gęsty wieniec gałęzi dębów.

– Oto *rio* zaznaczone na mapie – powiedział wówczas Briant, wskazując wcięcie w brzegu, którym wypływał nadmiar wód z jeziora.

– Sądę, że powinniśmy nadać mu jakąś nazwę – rzekł chłopiec okrętowy.

– Masz rację, Moko. Nazwijmy ją East River, skoro płynie na wschód wyspy.

– Doskonale – odpowiedział Moko. – Teraz pozostaje nam jedynie płynąć z prądem East River, by dotrzeć do jej ujścia.

– Zrobimy to jutro, Moko. Lepiej będzie przenocować w tym miejscu. Jutro o świcie damy jolce dryfować, co pozwoli nam przyrzeć się okolicy po obu brzegach *rio*.

– Przybijamy...? – zapytał Jacques.

– Oczywiście – odparł Briant. – Obozowisko założymy pod osłoną drzew.

Briant, Moko i Jacques wyskoczyli na brzeg, uformowany w niewielką zatoczkę. Kiedy zacumowali solidnie jolkę do pnia drzewa, wyciągnęli z niej broń i zapasy jedzenia. Pod wielkim dębem ostrolistnym zapłonęło ognisko podsycane suchym drewnem. Chłopcy zjedli suchary z zimnym mięsem, rozłożyli swoje posłania na ziemi i już nic nie mogło im przeszkodzić w zaśnięciu. Na wszelki wypadek załadowali broń, jednak noc upłynęła spokojnie, jeżeli nie liczyć wycia jakichś zwierząt po zapadnięciu zmroku.

– Ruszamy w drogę! – wykrzyknął Briant, który obudził się pierwszy o szóstej rano.

Po kilku minutach wszyscy trzej zajęli miejsca w jolce, pozwalając się nieść prądowi *rio*.

Prąd był na tyle silny – od pół godziny trwał odpływ – że prawie nie trzeba było używać wiosł. Dlatego Briant i Jacques przycupnęli na dziobie łódki, podczas gdy Moko zajął miej-

sce na rufie, używając jednego z wiosł jako zwykłego steru tylko po to, by utrzymać lekką łódź w prądzie rzeki.

– Jest prawdopodobne – powiedział – że wystarczy jeden odpływ, by zanieść nas do morza, jeśli East River ma tylko pięć lub sześć mil długości, ponieważ jej prąd jest szybszy niż nurt Rio Zealand.

– Należałoby sobie tego życzyć – odpowiedział Briant. – Jednak aby wrócić, będziemy potrzebowali zapewne dwóch lub trzech przypływów...

– Rzeczywiście, panie Briant, i jeżeli pan zechce, natychmiast zawrócimy... – odparł Moko.

– Dobrze, Moko – odparł Briant – ale dopiero jak sprawdzimy, czy na wschód od Wyspy Chairmana nie widać jakiegokolwiek lądu.

Tymczasem jolka płynęła z prędkością, którą Moko oceniał na ponad milę na godzinę. Ponadto East River płynęła niemal prosto w kierunku wschodnio-północno-wschodnim, co wskazywała busola. Jej łóżysko było głębsze niż Rio Zealand, jak również węższe – miało jedynie około trzydziestu stóp szerokości – co wyjaśniało prędkość jej nurtu. Briant obawiał się jedynie tego, czy nagle nie pojawią się bystrza i wiry, i stanie się niespławna aż do ujścia. Gdyby jednak pojawiły się jakieś przeszkody, byłby czas, aby w porę je zauważyć.

Znajdowali się w samym środku dość gęstego lasu o bujnej roślinności. Rosły tam podobne gatunki jak w Traps Woods, z tą różnicą, że dominowały dęby zielone, dęby korkowe¹, sosny i świerki.

Mimo mniejszej znajomości botaniki niż miał Gordon, Briant między innymi rozpoznał pewne drzewo, którego okazy spo-

¹ *Dąb korkowy (Quercus suber)* – gatunek wiecznie zielonego, rozłożystego drzewa, rosnącego w Afryce północnej i Europie południowej, z którego uzyskuje się korek; w celu pozyskania korka wykorzystuje się jedynie korę, a dokładniej – jej zewnętrzną, obumarłą część.

tyka się dość często w Nowej Zelandii. Drzewo to, którego parasolowata korona gałęzi zaczynała się sześćdziesiąt stóp powyżej ziemi, miało długie na trzy, cztery cale i spiczaste na swych końcach owoce, pokryte czymś w rodzaju błyszczących łusek.

– To musi być pinia! – wykrzyknął Briant.

– Jeżeli się pan nie myli, panie Briant – powiedział Moko – warto się będzie na chwilę zatrzymać!

Pchnięciem wiosła skierował jolkę ku lewemu brzegowi. Briant i Jacques wyskoczyli na ziemię. Kilka minut później przynieśli dość dużą liczbę szyszek pinii, w których znajdowały się owalne nasiona otoczone cienką błonką i pachnące jak orzechy laskowe. Było to cenne znalezisko dla łakomczuchów z kolonii, ale także – co oznajmił im Gordon po powrocie – bogate źródło znakomitego oleju.

Należało też rozpoznać, czy las ten był bogaty w zwierzyne, jak inne lasy położone na zachód od Family Lake. Tak zapewne musiało być, gdyż Briant dostrzegł przechodzące pośród gęstych zarośli wystraszone stada nandu i wigoni, a nawet parę gwanak, uciekających z wielką prędkością. Co do ptaków, to Doniphan miałby okazję do oddawania celnych strzałów ze swej fuzji. Jeśli chodzi o Brianta, ten powstrzymywał się od niepotrzebnego zużywania prochu, ponieważ w jolce znajdował się wystarczający zapas jedzenia.

Około jedenastej stało się jasne, że zwarty maszyn drzew zaczął się przerzedzać, a w lesie pojawiły się niewielkie jasne polany. Jednocześnie wietrzyk nasycał się zapachem soli, co wskazywało na bliskość morza.

Kilka minut później za grupą okazałych dębów zielonych nagle pojawiła się na horyzoncie niebieskawa linia.

Prąd wciąż pociągał jolkę – co prawda nieco wolniej. Już wkrótce mierząca w tym miejscu czterdzieści do pięćdziesięciu stóp szerokości East River miała odczuć siłę przypływu.

Kiedy dopłynęli do skał wznoszących się na wybrzeżu, Moko skierował łódź w stronę lewego brzegu; następnie wyskoczył z małą kotwiczką w rękę i wbił ją mocno w piasek, podczas gdy Briant i jego brat również wyszli na ląd.

Jakże bardzo różniło się tu wybrzeże oceanu od tego na zachodzie Wyspy Chairmana! Tutaj otwierała się głęboka zatoka, dokładnie na tej samej wysokości co Sloughi Bay, ale zamiast szerokiej piaszczystej plaży otoczonej barierą raf i ograniczonej falezą wznoszącą się na dalszym planie Wreck Coast, tutaj było skalne zwałisko, pośród którego – Briant miał się o tym wkrótce przekonać – można było znaleźć nie jedną, lecz ze dwadzieścia grot.

Zatem to miejsce nadawało się do zamieszkania i gdyby *schooner* został wyrzucony w tej okolicy, gdyby udało się ponownie spuścić go na wodę po utknięciu na mieliźnie, mógłby się skryć u ujścia East River, w małym naturalnym porcie, gdzie było wystarczająco głęboko nawet podczas odpływu.

Briant przede wszystkim skierował spojrzenie w stronę pełnego morza, na daleki horyzont tej rozległej zatoki. Rozciągnięta na odcinku około piętnastu mil, pomiędzy dwoma piaszczystymi cyplami, zasługiwała na miano zatoki.

W tej chwili zatoka była pusta – bez wątpienia jak zawsze. Ani jednego statku w zasięgu wzroku, nawet na horyzoncie rysującym się wyraźnie na tle nieba! Żadnego pozuu stałego lądu lub wyspy! Moko, przyzwyczajony do rozpoznawania niewyraźnych, odległych wyniosłości, które często mieszają się z oparami znad pełnego morza, nie dostrzegł nic nawet przez lunetę. Wyspa Chairmana wydawała się odosobniona tak od wschodu, jak i od zachodu. Oto dlaczego mapa francuskiego rozbitka nie wskazywała żadnej ziemi w jej okolicy.

Powiedzieć, że Briant był zawiedziony, byłoby przesadą. Nie! Właściwie tego się spodziewał. Jednak wydało mu się oczywiste, by nazwać ten wycinek wybrzeża Deception Bay¹.

– No cóż – stwierdził – to jeszcze nie od tej strony będziemy mogli wyruszyć w drogę powrotną!

– Ech, panie Briant – odpowiedział Moko – zawsze się odchodzi, tą czy też inną drogą! Tymczasem dobrze zrobimy, gdy zjemy śniadanie...

– Zgoda, ale się pospieszmy – rzekł Briant. – O której godzinie jolka będzie mogła popłynąć w górę East River?

– Jeżeli chcemy skorzystać z przypływu, należałoby już wyruszać.

– To niemożliwe, Moko! Chciałbym spojrzeć na horyzont w jak najlepszych warunkach i z wysokości jakiejś skały górującej nad wybrzeżem.

– Wtedy, panie Briant, będziemy zmuszeni poczekać na kolejny przypływ, który da się odczuć na East River przed dziesiątą wieczorem.

– Nie będziesz się bał żeglować nocą? – zapytał Briant.

– Nie, żegluga powinna być bezpieczna, gdyż mamy pełnię księżyca – odpowiedział Moko. – Poza tym *rio* płynie tak prosto, że jak długo będzie trwał przypływ, wystarczy sterować wiosłem. Później, kiedy prąd kieruje się ku ujściu, spróbujemy używać wiosła, a gdyby odpływ okazał się zbyt silny, zrobimy postój aż do rana.

– Dobrze, Moko, to mi odpowiada, a skoro mamy przed sobą dwanaście godzin, wykorzystajmy je na rozpoznanie.

Po śniadaniu, aż do obiadu, cały czas poświęcono na poznanie tej części wybrzeża, chronionej gąszczem drzew, wystających nawet u podnóża skał. Co do zwierzyny, wydawała

¹ *Deception Bay* (ang.) – Zatoka Rozczarowania.



Tym, co charakteryzowało tę część wybrzeża, było nagromadzenie granitowych bloków. Prawdziwe rumowisko skalne.

się równie liczna jak w okolicy French Den, i Briant pozwolił na ustrzelenie kilku kusaczy na wieczorny posiłek.

Tym, co charakteryzowało tę część wybrzeża, było nagromadzenie granitowych bloków. Prawdziwe rumowisko skalne, stosy gigantycznych skał – podobnie jak pola w Carnac¹, lecz ich nieregularne rozmieszczenie nie było dziełem ręki człowieka. Między nimi chłopcy napotkali wiele głębokich jam, nazywanych w krajach celtyckich² „kominami”, pomiędzy ścianami których łatwo można było urządzić sobie schronienie. Były tam również grotty i jaskinie, które mogłyby zapewnić kolonii warunki jak we French Den. Tylko na przestrzeni pół mili Briant odkrył tuzin takich wygodnych pieczar.

Dlatego Briant całkiem naturalnie zadawał sobie pytanie, dlaczego francuski rozbitek nie schronił się w tej części Wyspy Chairmana. Co do tego, że ją odwiedził, nie było żadnych wątpliwości, ponieważ zarysy tego wybrzeża były pokazane na jego mapie. Jeśli więc nie znaleźli żadnych śladów jego pobytu, było prawdopodobne, że François Baudoin zamieszkał we French Den, zanim zaczął swoje poszukiwania na wschodnim terytorium, i tam, będąc mniej narażony na nawałnice od morza, uznał za wskazane pozostać. Było to bardzo wiarygodne wyjaśnienie, które Briant uznał za możliwe do przyjęcia.

Około drugiej po południu, kiedy słońce przekroczyło już najwyższy punkt na swojej drodze, nastał najbardziej korzystny czas, by przystąpić do szczegółowej obserwacji morza wokół wyspy. Briant, Jacques i Moko spróbowali więc wdrapać się na

¹ *Carnac* – wioska we Francji, w której znajdują się wielkie głazy wznoszone w epokach przedhistorycznych (menhiry), związane m.in. z kultem zmarłych.

² *Kraje celtyckie* – autor ma tu na myśli Francję, Hiszpanię i Wielką Brytanię, których tereny w starożytności zamieszkiwali Celtowie; język celtycki zachował się do dziś w Bretanii, we Francji i w Irlandii.

skalny masyw, przypominający kształtem ogromnego niedźwiedzia, który wznosił się około stu stóp nad małym portem. Chłopcy nie bez trudu zdołali dotrzeć na jego szczyt.

Patrząc z tego miejsca do tyłu, widać było lasy rozciągające się ku zachodowi aż po Family Lake, którego powierzchnię przysłaniała rozległa zasłona zieleni. Na południu kraina wydawała się poorana żółtawymi piaszkowymi wydhami, poprzecinanymi zagajnikami czarnych jodeł, podobnie jak w nieurodzajnych *campines*¹ krajów północnej Europy. Północny zarys zatoki kończył się niskim cyplem, stanowiącym granicę wielkiej piaszczystej równiny ciągnącej się poza nim. W sumie Wyspa Chairmana naprawdę urodzajna była jedynie w swojej środkowej części, której życie nadawały słodkie wody jeziora, zasilające różne *rios* wypływające z obu jej stron.

Briant skierował lunetę w stronę wschodniego horyzontu, zarysowującego się wówczas z wielką czystością. Przez jej obiektyw z łatwością zauważyłby każdy łódź położony w promieniu siedmiu do ośmiu mil.

Jednak w tym kierunku nie było nic...! Nic, tylko niezmierny ocean, ograniczony nieprzerwaną linią nieba!

Przez godzinę Briant, Moko i Jacques nie przestawali obserwować uważnie morza i w końcu postanowili zejść na brzeg, kiedy Moko powstrzymał Brianta.

– Co tam jest? – zapytał, wskazując ręką w kierunku północno-wschodnim.

Briant nastawił lunetę na wskazany punkt.

Tam rzeczywiście nieco powyżej linii horyzontu lśniła jakaś biaława plama, którą oko mogło pomylić z obłokiem, gdyby w tym momencie niebo nie było całkiem czyste. Ponadto po

¹ *Campine* (hol. Kempen) – naturalny region położony głównie w północno-wschodniej Belgii i częściowo w Holandii, pokryty torfowiskami, piaszczystymi wrzosowiskami i mokradłami.

długim trzymaniu jej w polu obiektywu lunety Briant był w stanie stwierdzić, że plamka ta się nie poruszyła, a jej kształt nie zmienił się w żaden sposób.

– Nie mam pojęcia, co to może być – powiedział – chyba żeby to była góra! Ale przecież góry tak nie wyglądają!

Kilka chwil później, kiedy słońce pochyliło się bardziej ku zachodowi, plama zniknęła. Czy był to rzeczywiście jakiś wyniosły ląd, czy raczej jedynie odbicie światła na wodzie? Jacques i Moko przychylali się do tej ostatniej hipotezy, chociaż Briant miał co do tego wątpliwości.

Po zakończeniu obserwacji wszyscy trzej powrócili do ujścia East River, do małego portu, w głębi którego zacumowali jolkę. Jacques nazbierał pod drzewami suchych gałęzi i rozpałił ognisko, podczas gdy Moko przygotowywał pieczeń z kusaczy.

Około siódmej, po zjedzeniu z apetytem kolacji, Briant i Jacques poszli brzegiem na spacer, oczekując na godzinę przyływu, by móc odpłynąć.

Moko poszedł lewym brzegiem *rio*, gdzie rosły pinie, z zamiarem nazbierania ich szyszek.

Kiedy powrócił do ujścia East River, zaczynała zapadać noc. Brzeg morza tonął już w półmroku, podczas gdy horyzont oświetlały jeszcze ostatnie promienie słońca, ślizgając się lekko po powierzchni wyspy.

W chwili gdy Moko dotarł do jolki, Briant i jego brat jeszcze nie wrócili. Ponieważ nie mogli odejść daleko, nie miał powodów do obaw.

Nagle jednak usłyszał jakiś lament, a w tym samym momencie podniesiony głos. Nie mógł się mylić: głos należał do Brianta.

Czy obu braciom groziło jakieś niebezpieczeństwo? Chłopic okrętowy nie zawahał się pospieszyć ku piaszczystemu wybrzeżu, okrążając ostatnie skały zamykające mały port.



– Przepraszam... bracie... wybacz!

Nagle to, co zobaczył, nie pozwoliło mu iść dalej.

Jacques klęczał przed Briantem...! Wydawał się o coś błagać, prosić o litość...! Stąd pochodził ów lament, jaki dobiegł do uszu Moko.

Chłopiec zamierzał dyskretnie się wycofać... Było jednak za późno...! Wszystko usłyszał i wszystko zrozumiał! Poznał już błąd, który popełnił Jacques, do którego właśnie przyznał się bratu! Ten zaś wołał:

– Nieszczęsny! Jak to, to ty... ty to zrobiłeś!? To ty jesteś przyczyną...

– Przepraszam... bracie... wybacz!

– To dlatego odsunąłeś się od kolegów...! Dlatego się ich obawiałeś...! Ach, oby się nigdy nie dowiedzieli! Nie...! Ani słowa więcej! Ani jednego słowa... nikomu!

Moko dałby wiele, by nie poznać tego sekretu. Teraz jednak udawanie przed Briantem kosztowałoby go zbyt dużo. Dlatego też kilka chwil później, kiedy znaleźli się razem koło łódki, Moko rzekł:

– Panie Briant, ja wszystko słyszałem...

– Co?! Więc wiesz, że Jacques...?

– Tak, panie Briant... ale myślę, że trzeba mu wybaczyć.

– Lecz czy inni mu przebaczą...?

– Być może! – odparł Moko. – W każdym razie byłoby lepiej, gdyby o niczym nie wiedzieli. Może pan być pewny, że ja będę milczał...!

– Ach, mój zacy Moko! – szepnął Briant, ściskając dłoń chłopca okrętowego.

Podczas dwu godzin dzielących ich od chwili odjazdu, Briant ani słowem nie odezwał się do brata. Ten zresztą siedział pod skałą niewątpliwie bardziej przygnębiony od czasu, kiedy ulegając naleganiom brata, przyznał się do wszystkiego.

Około dziesiątej dało się odczuć przypyływ. Briant, Jacques i Moko zajęli swoje miejsca w jolce. Gdy tylko została odcumowana, porwał ją szybki prąd rzeki. Zaraz po zachodzie słońca ukazał się księżyc i wystarczająco oświeślał East River, by mogli płynąć aż do wpół do pierwszej w nocy. Kiedy rozpoczął się odpływ, zmusił ich do chwycenia za wiosła, i podczas następnej godziny jolka nie pokonała nawet jednej mili w górę rzeki.

Briant zaproponował więc postój aż do świtu, aby poczekać na następny przypyływ, co też uczynili. O szóstej rano ruszyli w dalszą drogę, a około dziewiątej jolka znalazła się na wodach Family Lake.

Wówczas Moko podniósł żagiel i niesieni mocną, wiejącą z boku bryzą, wzięli kurs na French Den.

Około szóstej wieczorem po szczęśliwej podróży, podczas której Briant i Jacques trwali w milczeniu, jolka została zasygnalizowana przez Garnetta, który łowił ryby na brzegu jeziora. Kilka chwil później dopłynęła do grobli, gdzie Gordon radośnie przyjął powrót swoich towarzyszy.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!